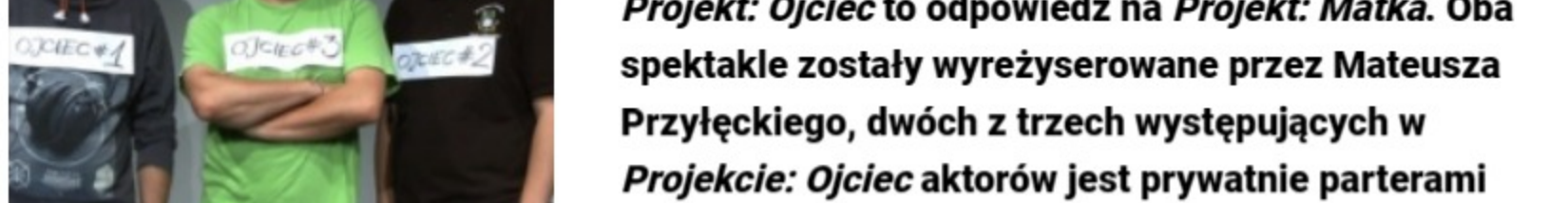
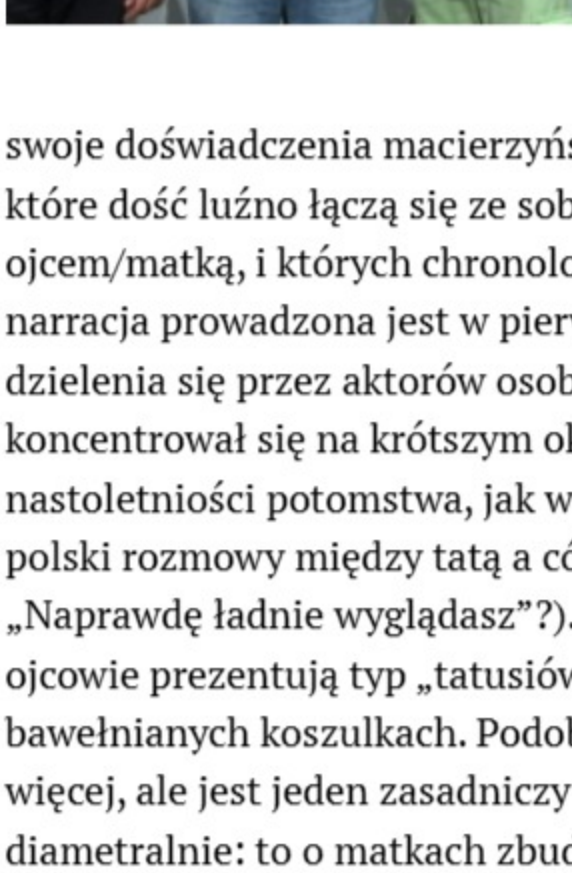


# Imperium kontratakuje

Projekt: *Ojciec*, rez. Mateusz Przyłęcki, Ośrodek Teatralny Kana w Szczecinie

Doktor habilitowana kulturoznawstwa, adiunkt w Zakładzie Performatyki Instytutu

A A A



**Nieczęsto zdarzają się w jednym teatrze premiery, z których druga jest odpowiedzią na spektakl powstały kilka sezonów wcześniej. Tak właśnie rzecz ma się z najnowszym przedstawieniem szczecińskiej Kany – *Projekt: Ojciec* to odpowiedź na *Projekt: Matka*. Oba spektakle *zostały wyreżyserowane przez Mateusza Przyłęckiego, dwóch z trzech występujących w *Projekcie: Ojciec* aktorów jest prywatnie parterami aktorek z tego drugiego przedstawienia.***

Scenariusze obu powstały na podstawie publicznych blogów, na których rodzice odmiennych płci opisywali swoje doświadczenia macierzyńskiej/tacierzyńskiej. Oba zbudowane są z pojedynczych scen, które dość luźno łączą się ze sobą, poza tym że dotyczą tego samego zagadnienia: bycia ojcem/matką, i których chronologia wyznaczona jest ciężą i dorastaniem dzieci. W obu narracja prowadzona jest w pierwszej osobie, podawana wprost do widza, co daje wrażenie dzielenia się przez aktorów osobistymi doświadczeniami. Spektakl zagrany przez kobiety koncentrował się na krótszym okresie życia matki i dziecka; ten ojcowski wybiega niemal do nastoletniości potomstwa, jak w przezabawnej scenie tłumaczenia z języka „ojcowskiego” na polski rozmowy między tatą a córką (kto wie, co ma na myśli tata, mówiąc do latorośli: „Naprawdę ładnie wyglądasz?”). O ile matki wystylizowane były na twarde bojowniczkę, to ojcowie prezentują typ „tatusiów z sąsiedztwa” w spodniach od dreśu i rozciągniętych bawelnianych koszulkach. Podobieństw między oboma spektaklami dałoby się znaleźć więcej, ale jest jeden zasadniczy wymiar, dzięki któremu te dwa przedstawienia różnią się diametralnie: to o matkach zbudowane było na maksymalnym wkurzeniu i desperacji, a ojcowskie to cykl zabawnych anegdot spointowanych liryczno-refleksyjnym nawiązaniem więzi z własnym ojcem.

Tego rodzaju spektakle jak oba *Projekty*... z racji podejmowanej problematyki prezentują coś, co można nazwać strategią publiczną – prywatne, osobiste doświadczenia opisywane przez blogerów z racji ich upublicznienia i tego, że dotyczą spraw ponadjednostkowych, inicjują dyskusję na aktualny temat czy też chcą być głosem w już toczoną debatę publiczną. Dlatego też nie można traktować ich przede wszystkim jako dzieł artystycznych. Tak też ich chyba nie traktują sami twórcy, skoro wokół *Projektu: Matka* wyrosła cała seria warsztatów dla kobiet. Wydaje się więc, że moje podejście do obu przedstawień Przyłęckiego jest uprawnione – udział w nich odebrałam jako zachętę do dyskusji. Jak pisze sam reżyser, po pierwszym spektaklu „w trakcie rozmów z publicznością okazało się, że istnieje zapotrzebowanie na opowiedzenie o doświadczeniu bycia rodzicem z perspektywy młodych ojców. Chcemy, żeby *Projekt: Ojciec* był odpowiedzią na to zapotrzebowanie. Pragniemy, żeby spektakl oraz towarzyszące mu warsztaty i spotkania pomogły oswoić przyszłych ojców z doświadczeniem ojcostwa oraz wstały się wsparciem dla mężczyzn, którzy są już ojcami i na co dzień doświadczają różnych trudności z tym związanych. Chcemy uświadomić i uwrażliwić społeczeństwo na istotne tematy związane z ojcostwem oraz upowszechnić pozytywne wzorce świadomego, zaangażowanego ojcostwa”. W zamysle spektakl ma więc być zacznem o wiele szerszego projektu – tworenia pozytywnych wzorców ojcostwa. Toteż potraktuję *Projekt: Ojciec* jako projekt społeczny wykorzystujący do realizacji swoich celów środki artystyczne i na tej płaszczyźnie spróbuję z nim trochę podyskutować. Pierwszym, co rzuciło mi się w oczy, kiedy przyszyłam na *Projekt: Matka*, było to, że na widowni siedziały same kobiety, tak jakby mężczyźni-ojcowie nie byli zainteresowani wysłuchaniem kobiecych doświadczeń rodzicielstwa. Natomiast na widowni *Projektu: Ojciec* panie i tak stanowiły ponad połowę widzów. Ciekawe jest także to, że potrzeba, o której pisał reżyser, zrodziła się niejako wtórnie, dopiero w odpowiedzi na to, co chciały wykrzyzczyć kobiety-aktorki. To one zainicjowały dialog, w którym jak równoważny, dotyczący rodzicielstwa pojawia się teraz głos mężczyzn – tych, którzy i tak mają o wiele większy wpływ na kształtowanie sfery publicznej (choćby przez stanowienie prawa) niż kobiety. Proszę mnie dobrze zrozumieć, nie próbuję, Boże broń, odbierać ojcom prawa do dzielenia się swoimi doświadczeniami i przeżyciami. Mam jednak takie poczucie, być może bardzo bardzo niesprawiedliwe, że ten męski dyskurs jest formą przechwycenia doświadczenia rodzicielstwa, ponieważ w kulturze to, co męskie, traktowane jest jako uniwersalne, a to, co kobiece, jako szczególne, a przez to marginalne. Ponieważ klimat przedstawienia pokazuje rodzicielstwo-ojcostwo jako serię zabawnych wyzwani, z którymi tata zawsze jakoś daje sobie radę, desperacja matek z pierwszego przedstawienia jawi się jako margines czy wynaturzenie w doświadczeniu rodzicielstwa.

W pierwszej scenie spektaklu pojawia się słowo, które ma w najpełniejszy sposób tłumaczyć zachowania kobiet – hormony. Wyłącznie one, jak zdaje się wynikać z pierwszego mini monologu, kierują zachowaniami kobiet, a to ustawia matki w roli istot nieracjonalnych, rządzonych chwiejną biologią. Tata relacjonuje swoją rozmowę z doświadczonego kolegą, który na wieść o ciąży małżonki mówi mu, że odtąd w dyskusjach z nią już nigdy nie będzie miał racji. Ta opowieść oczywiście wywołuje wybuch śmiechu, ale czy rzeczywiście poważny temat, jakim są przemiany roli ojca i jej postrzegania, najlepiej dają się opowiedzieć za pomocą stereotypów? Męskimi zachowaniami nie rządzą hormony? Czy może po prostu ich wpływ na postępowanie panów został inaczej, mniej pejoratywnie nazwany – racjonalnością? Ta opozycja: kobiece hormony i nieumiejętność poradzenia sobie z trudniami macierzyństwa kontra męska racjonalność („skąd wziąć pieniądze na taki wózek, jak ona chce?”), która pozwala sobie radzić w rozmaitych potencjalnie stresujących sytuacjach, umieszczona w kontekście świadomie wyartykułowanej wypowiedzi, że *Projekt: Ojciec* jest **odpowiedzią na *Projekt: Matka***, budzi we mnie protest i wkurzenie. To tak jakby twórcy – mężczyźni chcieli powiedzieć kobietom: „Skąd te nerwy? Popatrzcie, jak to wszystko można potraktować bezstresowo”. Jeśli pojawia się stres i nerwy, to za sprawą „przeszkadzaczy” – np. teściowej, też potraktowanej w spektaklu stereotypowo. Otóż w jednej ze scen dotyczących niemowlęctwa mamy tatusia, który wraca z pracy gotów do przejęcia opieki nad dzieckiem, podczas gdy mama wychodzi z domu. Teściowa, która już zbierała się do wyjścia, decyduje się zostać chwilę, bo niemowlę właśnie zaczęło wyc, a starsze dziecko wisi na tacie, bo chce się bawić. Tatus nie daje sobie pomóc, tylko relacjonuje swoje narastające wkurzenie, łącznie z opisem brutalnych aktów, jakich chciałby dopuścić się na teściowej. Wymowa sceny jest oczywista: miałbym wszystko pod kontrolą, gdyby mi to babsko nie przeszkadzało (a przeszkadza, usiłując zająć się drugim dzieckiem lub też potrzymać przewijając za rączkę). W swojej opowieści tata nie dopuszcza do siebie myśli, że narastające wycie dziecka spowodowane jest nie obecnością babci, lecz reakcją jego, ojca na tę obecność. To jego zdenenerowanie udzieliło się dzieciom.

Twórcy, jak deklarowali, chcieli swoim spektaklem przywołać do społecznej świadomości znaczenie roli ojca i myśleć, że im się to w pewnym sensie udało, choć z mojego – kobiecego – punktu widzenia czasem środki obrane do tego celu wyglądają karykaturalnie. W jednej ze scen ojciec skarży się, że cała uwaga otoczenia poświęcana jest jego ciężarnej partnerce, a on czuje się wtedy taki osamotniony. Ta zazdrość o uwagę wygląda bardzo dziecinnie – tak trudno znieść, że przez te parę miesięcy kto inny jest w centrum zainteresowania? Ktoś, na kim w tym okresie jednak głównie spoczywa troska o dziecko, ktoś, kto doświadcza własnym ciałem tego, że dziecko powstaje, kto cierpi w związku z tym na zaparcia (obsziane w spektaklu), musi często chodzić sikać i czyje ciało zmienacka zaczyna żyć własnym życiem. Drody tatusiowie, nie zazdroście tego zainteresowania, to i tak wyłącznie troska o pojemnik na dziecko – zniknie bezpowrotnie, jak tylko nowa istota go opuści. W spektaklu pojawia się scena wyrażająca próbę wczucia się w sytuację ciężarnej matki – kiedy ojciec w sklepie wsadza pod koszulkę sześciokilogramowego arbuza. Opisuje jak widzi, iż bawelna się skąpie i rozciąga. Scena kończy się przypomnieniem, że gdyby to było prawdziwe dziecko, tak ciągnęłyby się mięśnie, ścięgna i skóra.

Głównym elementem scenografii w przedstawieniu jest duża czerwona kanapa, to z niej w pierwszych scenach przemawiają do nas ojcowie. To na niej siedzą we trzech z lekko ogłupiałymi minami, po urodzeniu tułąc do nagich torsów lalki-niemowlęta. To na niej zwisają w dziwacznych pozach, pokazujących, jak skomplikowanym zadaniem jest uspienie dziecka. Przed nią rozgrywa się najzabawniejsza scena spektaklu, kiedy trzej aktorzy do melodii *Daddy Cool* Boney M., tańcząc niczym *chippendalesi* zawijali się w chusty. Robili to rzeczywiście „śpiewająco”, niezwykle sprawnie i fachowo. Bo tatusiowie są *cool* (bo są)! Tylko czy ta sama scena w wykonaniu matek budziłaby taki aplauz? I tak jak w tamtym spektaklu przeszkadzało mi to, że mówił on wyłącznie o troskach i trudach macierzyństwa, tak w tym „ojcowskim” drażniło mnie zabawne i anegdotyczne potraktowanie doświadczenia rodzicielstwa. Zaowocowało to bardzo sympatycznym i wesołym przedstawieniem, lecz nie jestem przekonana, czy może ono „upowszechniać pozytywne wzorce świadomego, zaangażowanego ojcostwa”. Tak jak historia opowiedziana od strony kobiecej była odzieraniem z lukra, tak ta ojcowska była raczej lukrowaniem rodzicielstwa.

W moim odbiorze obu przedstawień znaczącą rolę odgrywają dwie rozmowy, które zresztą odbyły się w Piwnicy Kana. Ta ważna dla *Projektu: Ojciec* miała miejsce już dość dawno temu między osobistym ojcem mojego dziecka a moim kolegą (reżyserem teatralnym zresztą). Panowie, których dzieci są w podobnym wieku, wymieniali doświadczenia na temat spacerów ze „wózkówkami” nietatami. Doświadczenia obu były bardzo podobne: ojciec z małym dzieckiem ma „branie” wśród kobiet jak nikt inny. Ta anegdota pokazuje, jak bardzo odmienna jest sytuacja młodych matek i młodych ojców, ci ostatni zwykle mogą liczyć na życzliwe zainteresowanie i zachęty, że w ogóle zajmują się dzieckiem: że przylatują, że przewijają, że umieją ubrać i noszą w chuście. W przypadku matki te same zachowania to oczywista i „naturalna” aktywność, która zasługuje co najwyżej na nazwanie ich „wózkowymi”. Stąd chyba dwa tak różne klimaty obu przedstawień. W tym „ojcowskim” dominuje nuta zdziwienia z odkrywania nowego świata małego człowieka (jak w utworze zabawnej scenie „poporodowej” z przylutaniem niemowląt), ironia i chwilami drwina, może być może, mają przykryć wzmieszanie. Generalnie jednak, o dziwo, spektakl należy do gatunku prostych i przyjemnych, w zabawny sposób pokazujących doświadczenie bycia ojcem. Taki wymiar mają nawet te sceny, które rozegrane dłońmi, w pacynkach, mają pokazać tatusiów jako dyskryminowanych i nietraktowanych poważnie przez społeczeństwo (reprezentowane przez kobiety). Pierwsza z nich to historia ojca w tramwaju, który jest nieustannie pouczany przez starsze współpasażerki – że nie chce usiąść, że za chłodno ubrał dziecko itp. Nie chciałam podważać unikalności wieloletniego doświadczenia na tym polu, ale pamiętam, że jako nie najmłodsza już matka wielokrotnie spotykałam się z paniami tego typu, a dziecko w chuście działało na nie jak plachta na matkę. Podobnie z karykaturalną sceną wizyty u lekarza, która chciała rozmawiać tylko z matką (zdarzył nam się kontakt z takim lekarzem, który w ogóle nie chciał słuchać żadnego z rodziców). Ostatnia scena lalkowa dotyczyła nierówności w traktowaniu przez sądy matek i ojców. Choć jest to rzeczywiście poważny problem społeczny, tu też karykaturalny sposób przedstawienia wyroku wywoływał nie tyle smutek i współczucie, ile wyglądał na satyrę sądową. Nie wykluczam, że taka zabawna forma miała nie pozwolić samym mężczyznom na zbytne wzmieszanie się, ale tego właśnie brakowało mi w tym spektaklu – lęku, strachu, trudności czy złości na siebie samego za to, jakim się jest rodzicem. Jeśli pojawiają się trudności, to jest to znów śmieszna historyjka o tym, że dziecko do domu z dzieckiem bez spodni, bo siku poleciało poza pieluszką, spointowane tym, że tata wracał w mokrej koszulce, której się nie odważył zdjąć, bo nie ma odpowiedniego wyglądu. Refleksja nad złością na dziecko pojawia się tylko w scenie z kłopotami z ubraniem dwulatki. Wtedy jednak okazuje się, jak przydatna jest sennia w odwodzie...

Final spektaklu rozpięty jest między dwoma scenami badającymi relację ojców nie tyle z własnym dzieckiem, co z własnym ojcem. Pierwsza z nich to parodia pojedynku Luke’a Skywalker’a z jego ojcem Darthem Vaderem z szóstej części *Gwiezdnych wojen*, przerywana co chwila refleksjami Luke’a-spektaklowego ojca. Czyżby żeby zostać wspaniałym tatą, trzeba zabić w sobie własnego ojca – takiego ukształtowanego jeszcze wedle dawnego paradygmatu?

Na finał zamiast groteski twórcy zostawiają autentycznie wzmuszającą opowieść o ojcowskim poświeceniu – o rezygnacji z własnych ambicji dla zapewnienia rodzinie lepszego bytu.

*Projekt: Ojciec* to ważny spektakl, a moja chęć dyskusji z nim wynika właśnie z tego, że doceniam jego wagę. Teatralnie jest prostszy niż *Projekt: Matka*, ale równocześnie dramaturgicznie bardziej klarowny (może z tego powodu, że materiału tekstowego do wyboru było mniej, bo mniej jest blogów ojcowskich) – to ojciec i jego euforyczna niemal relacja z dzieckiem są tu osi przedstawienia, graną w żywym planie. Nie ma w tym spektaklu tak estetycznie wysmakowanych scen, jak w kobiecym spektaklu. Rolę w budowaniu klimatu przedstawienia, podobną do tej, jaką tam pełniły bezsłowne obrazy, tu pełni muzyka grana na żywo przez aktorów, dlatego pewnie zamiast opowieści o bezsilności po scenie sądowej mamy głośnie i energiczne walenie w perkusje. Wątki społeczne, bardziej zasygnalizowane niż przedstawione, bardzo wyraźnie wyodrębnione są w strukturze spektaklu, zdziwiająco się one granie są w lalkach. Panowie w swoim półprywatnym aktorstwie świetnie sprawdzają się w roli opowiadaczy „własnych” historii, wzmacniając poprowadzone kostiumami budowanie postaci „zwykłego ojca”. Właśnie to tworzenie obrazu „zwykłością” wydaje mi się wartościowe przed przedstawieniem – ojciec ze spektaklu to *everyman*, nie żaden awangardowy rewolucjonista czy prorok „nowego tacierzyństwa”. Dzięki temu może przemówić do innych zwykłych facetów (jeśli tylko temat zainteresuje ich na tyle, żeby przyszli na spektakl). Bo tata to rzeczywiście ważna postać w życiu każdego człowieka, podobnie zresztą jak mama. A lukrowanie tacierzyństwa może być pozytywnym działaniem – nic tak nie zachęca panów do wzięcia w czynny udział, jak wizja zabawnej przygody.

24-10-2016



**Projekt: Ojciec**  
scenariusz: Mateusz Przyłęcki – na podstawie tekstów Tomasza Kwaśniewskiego (Dziennik ciężarowca, Dziennik taty, Wydawnictwo W.A.B.), Huberta Pelki (tatakarola.blogspot.com), Macieja Mazurka (zuchpizze.pl), Tomasza Bułhaka (tatawbudowie.pl), Tata w budowie, Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz), Pawła Klimczaka (wywaznycie.blog.pl), żełczyński blog.onet.pl, Iana Bruce’a (Jak być wspaniałym tatą, tłumaczenie Tomasz Ilg, Wydawnictwo Vesper)  
reżyseria: Mateusz Przyłęcki  
muzyka: Michał Sarapata, zespół  
obsada: Tomasz Grygier, Krzysztof Sanecki, Piotr Starzyński  
premiera: 30.09.2016